WYLEĆ PTAKIEM Z SWEGO GNIAZDA

MIŁAĆ BĘDZIE TAKA JAZDA (W. POL)

# ORLI LOT

ORGAN KÓŁ KRAJOZNAWCZYCH MŁODZIEŻY P. T. K.

ROK VI. MAJ-CZERWIEC 1925. Nr. 5-6.



JAN CZERASZKIEWICZ

KAZIMIERZ KORCELLI.

# Słowo wstępne.

Wydanie niniejszego numeru „Orlego Lotu“ wymaga kilku wstępnych słów [1]).

Wiadomo, że Koło Krajoznawcze Młodzieży nie istnieje już od przeszło roku.

Ale jest faktem, że odegrało ono poważną rolę w życiu umysłowem i towarzyskiem młodzieży łódzkiej, — że było najpoważniejszą instytucją tego rodzaju na terenie Łodzi i jedyną.

Przez trzy długie lata, z niewielkiemi przerwami, w każdą sobotę zbierała się gromada młodzieży. To już dużo.

Prawda, były w pracy K. K. M. niedomagania — ale nie wolno pomijać rezultatów rzeczywistych. Oto one: Cały szereg wycieczek — do Sieradza, Tomaszowa, Spały, Łowicza, dziesięć dni w Łysogórach... Skompletowanie pracami członków K. K. M. dwóch zeszytów „Orlego Lotu“. Blisko 200 zebrań — i blisko 200 referatów!

Przesunięcie się kilkuset ludzi przez instytucję, która im dała i pewne wiadomości o kraju i wyrobienie naukowe, społeczne, towarzyskie i wspomnienia.

Trzy lata samodzielnego bytu instytucji międzyszkolnej trwającej wysiłkami tylko młodzieży.

To tylko rezultaty znaczniejsze. A ileż pracy jednostek uwięzło w poczynaniach na terenie K. K. M. — ileż umiłowania rzeczy, cichego entuzjazmu!

Tak. Zasłużyło sobie Koło na pamięć.

Zlikwidowaliśmy — my, członkowie, Zarząd — bo nie chcieliśmy, aby K. K. M. nie mające już gwarancji rozwoju samo się rozpadło [2]). Zlikwidowaliśmy, gdy Koło zewnętrznie wyglądało na instytucję mogącą iść dalej; bo nie chcieliśmy się doczekać stadjum ostatecznego rozkładu — nie chcieliśmy, aby ostatni etap życia K. K. M. zostawił za sobą wrażenie przygnębienia... W tem przygnębieniu leżałoby źródło niemocy dla tych, którzy mieliby zamiar (o ile warunki się zmienią) podjąć na nowo pracę, nawiązać do tradycji owych trzech lat życia.

I cel wydania niniejszego numeru „Orlego Lotu“ skompletowanego pracami członków K. K. M. jest dwojaki: aby ugrunto-

---

[1]) Artykuły pomieszczone w tym numerze do str. 80 nadesłało Koło Krajoznawcze z Łodzi.

[2]) Bliższe, choć nie wszystkie, powody likwidacji podane są dalej, w historji K. K. M.

wać pamięć o istnieniu niegdyś K. K. M. — i aby ta pamieć była ciągłem przypomnieniem dla nowych pracowników i nowych inicjatorów.

Stare, umarłe już dziś K. K. M. wydaniem tego pisma wypowiedziało swe ostatnie słowo. Oby to słowo było z tych, co to są „Czynu testamentem".

Wysyłając jeszcze w grudniu 1923 r. wszystkie prawie tu zamieszczone prace — pisałem, aby numer ten „nasz" ofiarowany był wybitnemu Krajoznawcy, Przyjacielowi Młodzieży, Założycielowi Koła — Janowi Czeraszkiewiczowi.

Dziś, wobec Jego śmierci niedawnej, poświęcamy ten numer Jego pamięci.

Pisali tu — Jego uczniowie.

Jest to praca Koła, które On założył.

*Łódź, marzec 1925 r.*

---

# Jan Czeraszkiewicz.

Ś. p. Jan Czeraszkiewicz ur. się w Rosienicach. Po skończeniu gimnazjum w Częstochowie, wyższe studja odbył na wydziale prawniczym Uniwersytetu Warszawskiego. W r. 1905 obejmuje kierownictwo szkoły handlowej w Zgierzu. W r. 1909 zostaje dyrektorem gimn. Tow. „Uciecha", które w r. 1919 zostaje przekształcone na Gimn. Państw. im. M. Kopernika. Przez długie lata prowadził w życie młode pokolenia, wychowywał prawych obywateli dla Polski. Pracował z całem oddaniem się, z gorącem umiłowaniem młodzieży. W gimnazjum wykładał geografję. Któż z jego wychowanków nie pamięta tych godzin, na których ś. p. Dyrektor mówił o ziemi naszej? Ileż umiłowania przedmiotu i znajomości! Był wrodzonym krajoznawcą. Tę czynną pracę na niwie krajoznawczej przeniósł i poza szkołę: prowadził wycieczki po kraju, wygłaszał odczyty, założył Koło Krajozn. Młodz., był długoletnim prezesem Łódzkiego Oddziału P. T. K., członkiem Naczelnej Rady Krajoznawczej. Nie było w Łodzi placówki kulturalno-oświatowej, gdzieby brakło ś. p. Czeraszkiewicza. Praca ciągła, bez wytchnienia, wyczerpująca — oto historja Jego życia. Praca ta powaliła go. Dnia 7 czerwca 1924 r. zmarł w Miłowodach pod Poznaniem.

Cześć Jego pamięci!

---

JAN CZERASZKIEWICZ.

# Społeczne znaczenie krajoznawstwa.

„Całokształt nauki polskiego dziecka musi rozwinąć się na tle ziemi rodzinnej, bo z nią związane są od tysiąca lat pokolenia, a umiłowanie tej ziemi dziedzicznie idzie z ojców na syny“ (Janowski). Zadanie to winna podjąć szkoła i niewątpliwie podejmie je i w miarę sił i możności postara się rozwiązać w ten sposób, by, obok rozwijania drogą wykładów uczucia miłości do ziemi rodzinnej, wiązać to uczucie w duszy dziecka z otaczającem je życiem, krajem, przyrodą i ludem, innemi słowy rozwijać współrzędnie pierwiastek uczuciowy i praktyczny.

Rola szkoły, jako takiej, jest tutaj niewystarczająca. Współrzędnie z nią działać musi społeczeństwo, działać planowo i konsekwentnie, stale i niezachwianie, nie zaś dorywczo i pod wrażeniem chwili i nastroju.

Krajoznawstwo jest w pierwszym rzędzie powołane do wytwarzania tak koniecznej samowiedzy narodowej.

W tym celu musimy obok krajoznawstwa o charakterze etnograficznym, archeologicznym i artystycznym uwzględniać przy badaniach naukowych krajoznawstwo przyrodnicze i społeczne. Przedewszystkiem należy zwracać większą niż dotąd uwagę na obecne stosunki ekonomiczne, na panujące warunki życia i otoczenia w miejscowościach zwiedzanych lub opisywanych.

Gdy to będzie uwzględnione, uczestnicy wycieczek wynosić będą ze zwiedzanych miejscowości nie tylko wspomnienia widzianych zabytków i pamiątek, lecz i pewną ilość faktów, dotyczących społecznego życia i stosunków prowincji. Te fakty niewątpliwie wzbogacać będą zasób wiadomości, które następnie przyczynią się do wzmożenia tak niezbędnej dla nas samowiedzy narodowej.

W jaki tedy sposób i jakiemi środkami mamy budzić naszą samowiedzę narodową? Przepraszam Szanownych moich Czytelników, że od tego momentu pisać będę w stylu i duchu propagandy: taką już mam naturę, że lubię wiązać ideowość z realnym gruntem, jestem zwolennikiem ideałów, które rodzą czyn i tężyznę duchową wyrabiają w społeczeństwie.

W jaki sposób więc całe społeczeństwo może współdziałać w pracy nad poznaniem naszego kraju? Stawiam pytanie i odpowiadam. Każda jednostka, myśląca i umiejąca patrzeć na objawy życia przyrody i człowieka w danej okolicy, notując wiernie te objawy może przynieść swą cegiełkę do gmachu wiedzy o naszej krainie, który z czasem powinien być zbudowany ręką architekta-geografa.

Jeżeli chodzi o urabianie samowiedzy narodowej, to pytam, kto może zastąpić w tym względzie rodzinę polską, kto może uważać siebie za więcej powołanego, kto ma więcej praw po temu, jeżeli nie rodzina polska! Rodzice są powołani do tego obok szkoły, by zasiewać w duszach swoich dzieci ziarno samowiedzy naro-

dowej, zaszczepiać w ich sercach i umysłach miłość kraju ojczystego i chęć poznania go, najpierw z opowiadań, książek, ilustracyj. a później z bliska przez pracę w nim i dla niego, przez związanie własnych losów z losami kraju, czy to w szczęściu, czy nieszczęściu, bo niema oderwanego pojęcia ojczyzny, ale istnieje także w duszy narodowej fizyczny obraz ojczyzny w najrozmaitszych swoich postaciach i zmianach. „Polska“ — to w wyobraźni naszej równiny Mazowsza, wikliną, wierzbami i srebrnodrzewiem porośnięte wybrzeża Wisły, to zbożem szumiące łany Kujaw, kwieciste łąki nadnarwiańskie, pagórki ziemi lubelskiej, łańcuch gór Święto-Krzyskich i granitowa, wspaniała ściana dzikich Tatr...

„To wszystko jest u nas. To wszystko stanowi część naszej duszy i nie da się z niej wyszarpnąć nigdy. A jeśli jesteśmy z daleka kraju, jeśli nas losy na krótsze lub dłuższe skażą tułactwo, pójdzie za nami wszędzie i rzuci się nam do gardła mocną, dławiącą tęsknotą i odezwie się w nas najcudowniejszą poezją i zapłacze skargą pierwszych, nieśmiertelnych wierszy „Pana Tadeusza“ (Zdzisław Dębicki).

LECH PAWŁOWSKI.

# Z wycieczki przyrodniczej w okolice Łodzi.

Wyszedłszy za miasto, znaleźliśmy się na szeroko zalegającej pod Łodzią morenie dennej. Świadczą o tem tu i ówdzie spotykane odkrywki, gdzieniegdzie rozsiane erratyki, wiercenia studzien, przekopy kolejowe i t. p. Morena denna uległa przemyciu, roztarciu, wreszcie lokalnemu transportowi i akumulacji, dając początek uwarstwieniu, bez głębszego jednakże znaczenia.

Zbliżamy się do Małych Łagiewnik. Gęsta pokrywa traw łąkowych nie pozwala na rozeznanie podłoża.

Łączka zaczyna się pokrywać kępami borówki bagiennej (Vaccinium uliginosum), borówki czernicy (V. Myrtillus), borówki brusznicy (V. vitis idaea). Zwracają naszą uwagę pewne zielone motylki (w rodzaju żarków), które do złudzenia przypominają odcieniem barwy oraz kształtem skrzydeł liście bagnówki oraz czernicy (mimikry!).

W pobliżu stawów Małych Łagiewnik napotkaliśmy bez koralkowy (Sambucus racemosa), a wyszedłszy z ostatnich zagajów sosnowych i minąwszy starożytny klasztor Wielkich Łagiewnik, znaleźliśmy się znowu w lesie, ale tym razem świerkowym. Las ten obfituje w jaszczurki zwyczajne, zwinki (Lacerta agilis L.), przyczem zaznaczyć należy, iż występują one tu w zmiennych barwach (od zupełnie szarych do pomarańczowych).

Za lasem rozciąga się niewielka równina, urozmaicona tu i ówdzie niewysokiemi wzniesieniami, bez głębszego zresztą znaczenia. Znowu mamy przed sobą moreny denne.

Minąwszy kilka nieszczególnych wiosek, dotarliśmy do Glinik, gdzie tuż koło bram dworu wznosi się b. ładna wysoka, murowana kapliczka Matki Boskiej.

Dalszy ciąg drogi odbywamy brzegiem b. typowo meandrującego strumienia, aż wreszcie dochodzimy do Szczawina, typowej ulicówki, obustronnie zabudowanej. Wogóle wszystkie spotykane przez nas wsie należały do typu ulicówki — jedno lub dwustronnego. Zresztą niczem szczególnem się nie odznaczały poza nazwami może, jak: Łagiewniki, Podole, Wołyń, Palestyna i t. d.

Urządzamy wieczorny wypad do pobliskich Kęblin poprzez las sosnowy, gęsto paprociami podszyty. Nad brzegami niewielkiej, piaszczystym korytem płynącej rzeczki Moszczenicy, rozciąga się b. urozmaicone zbiorowisko roślinne. Mamy więc tu: Chmiel po-



Fot. S. Łukasiewicz.

Wzgórze moreny dennej pod Łodzią.

spolity (Humulus lupulus), Wierzba iwa (Salix cuprea), Wierzba biała (S. alba), Podkolan dwulistny (Plathanthera bifolia), Storczyk plamisty (Orchis maculata), szalej jadowity i t. d.

— — — — — — — — — — — — — — —

Następnego dnia wracamy przez Dąbrówkę do Łodzi.

W Dąbrówce spotykamy anekumeny (nieużytki) w postaci diun. Piaski te (zapewne wywiane z dyluwjalnego podłoża — moren dennych) częściowo są umiejscowione (las sosnowy), w znacznej natomiast części są jeszcze lotne. Wysiłki człowieka, który sadzi tu brzozy (Betula alba) zmierzają do opanowania wydm. W akcji tej bierze również udział pewien gatunek trawy stepowej, porastający zrzadka kępkami piaski i lokalnie je zatrzymujący. Pomimo tego wydmy ujawniają jeszcze wiele życia i zasypują są-

siednie pola cienką warstwą sypkiego materjału. Można się o tem przekonać przez kopanie maleńkich dołków na peryferjach diun: pod piaskiem napotykamy glebę.

Florę diun reprezentują kępki macicrzanki (Thymus serpyllum), rojnika pospolitego (Sempervivum soboliferum), jastrzębca kosmaczka (Hieracium).

Nadzwyczajnie ubogą faunę diun reprezentują krwiożercze gąsienice mrówkolwa, których licznie rozsiane półkoliste dołki są znakomitą pułapką dla wędrujących po piaskach mrówek. Poza-



Krajobraz z okolic Łodzi: Ruda Pabjanicka.

tem od czasu do czasu przeleci ponad diunami jakiś błonkoskrzydły osowaty owad...

Z osobliwości mineralogicznych należy wyróżnić lechateliesyt, bezpostaciowy, stopiony przez piorun w kwarc. Tego rodzaju utwory mają kształt rurki o błyszczącej wewnętrznej ściance i zowią się fulgurytami.

Zwiewany wiatrem z powierzchni piasek odsłania odłamki prastarych naczyń. Są to odłamki urn z wypalanej gliny człowieka, zapewne jeszcze z paleolitu. Odłamki owe zdradzają nader pierwotną robotę. Żaden z pośród kilkudziesięciu oglądanych odłamków nie ujawniał jakichśkolwiek najprostrzych cech zdobniczych.

Ze względu na to, iż charakter wycieczki był jedynie przeglądowym, nie zatrzymujemy się dłużej, pozostawiając wiele ciekawych, otwartych problemów jak: kierunek posuwania się diun,

ich stosunek do opływającej je rzeczki, ślady pierwotnego człowieka i t. p.

Minąwszy diuny, wstępujemy na podłoże z moreny dennej zbudowane i tuż nad szosą koło wsi Lućmierz spotykamy pień napół wypalony olbrzymiego dębu (9 m obwodu).

Wreszcie śliczną aleją kasztanową i lasami sosnowemi dochodzimy do Zgierza, pod którym zalegają niewielkie wzgórza ze zwalonej przez lodowiec moreny dennej, a które użytkuje się jako kamieniołomy, dające doskonały materjał szosowy.



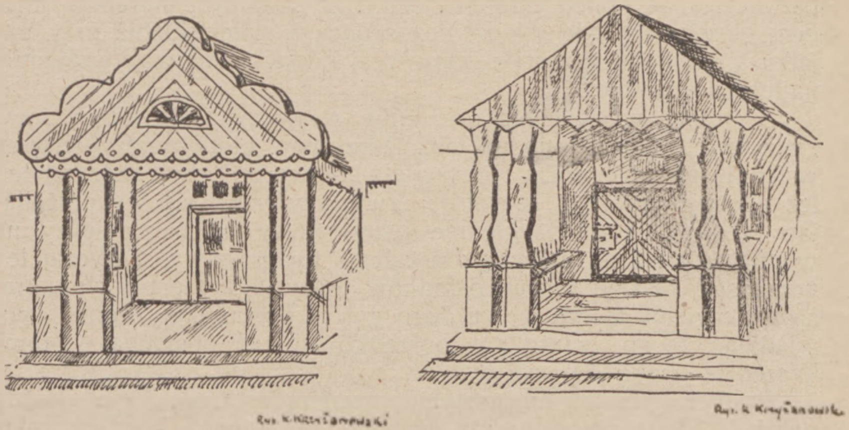

Drewniana kapliczka w Łagiewnikach pod Łodzią.

LECH ŁUKOWSKI.

## Obrzędy żniwiarskie w okolicach Łodzi.

Wspomnienia z pobytu we dworze w Rzepiszewie (gm. Szadek, pow. Sieradz, woj. Łódź). (Skrót referatu wygłoszonego na zebraniu Sekcji Ludoznawczej w dn. 21. XI. 1923).

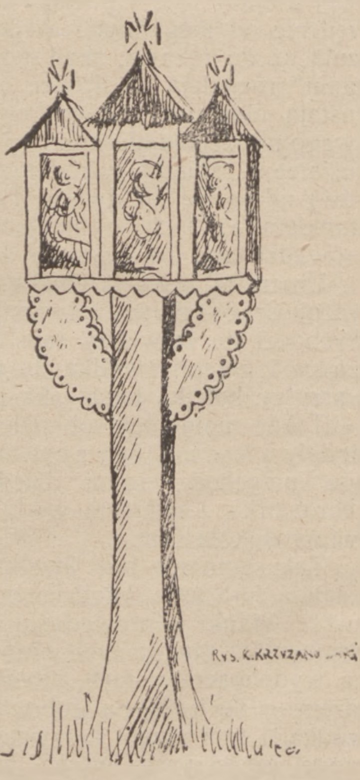
Moc obrzędów, jakie od wieków tradycja przekazała naszemu ludowi, jest osnuta na tle najważniejszych prac w polu: żniw i zwózki zboża. Jest to okres najintensywniejszego wysiłku spracowanych ciał, lecz i najradośniejszych zabaw służby folwarcznej. Już samo przystąpienie do pracy żniwiarzy z kosami odbywa się według przepisanego zwyczaju, a mianowicie każdy ma z urzędu wyznaczone sobie miejsce, i tak: po przodowniku, którym zostaje najpracowitszy i najwięcej uznania mający wśród towarzyszy, żniwiarz, postępują fornale, po nich pozostali ordynarjusze, następnie



Ganki w Warcie.




Wieżyczka kapliczki w Łagiewnikach.



Przydrożna figura w Warcie.

parobcy, a na końcu chłopi-najemcy. U „rabiaty“, którem to mianem określa się całą młódź, pozostającą w stałej służbie przy majątku, przodownicą zostaje zazwyczaj córka włodarza, względnie najlepsza robotnica.

Z chwilą wyjścia ludzi do żniw rozpoczyna się okres t. zw. „wiązania“. Polega ono na tem, iż każdego, który poraz pierwszy wstępuje na pole pracy, obstawiają ze wszech stron kosami lub też wiążą powrósłem ze słomy; „związany“ musi się wykupić, dając przodownikowi, względnie przodownicy nieco pieniępzy na wódkę, czy też na muzykę dla całego towarzystwa. Zwyczaj ten przedostał się i do innych ośrodków pracy, albowiem w tym okresie w cegielni dworskiej każdego gościa obstawiają cegłami, powiadając, że go „wiążą“; w porządkowni zaś obsypują wiórami. Wszędzie trzeba się wykupywać.

Prawdziwym już uroczystym obrzędem jest t. zw. „Fryc“. Każdy parobek, który pierwszy raz wyszedł do żniw z kosą w ręku, przez jakiś czas nosi pogardliwą nazwę „fryca“, aż dopóki nie zostanie „pizeciągnięty“ i „wykadzony“. „Przeciąganie fryca“ odbywa się w sposób następujący: bierze się największy i najbardziej kłujący oset i pociąga się nim po gołem ciele „fryca“. Oset wędruje od niegodnych wspomnienia części garderoby, pod koszulą aż do rękawa, skąd też go wyciągają. Po owem „przeciąganiu“ rozpalają na drodze ognisko i biorąc fryca za ręce i nogi huśtają nim nad dymem ogniska. Następnie dziewczęta zdobią owego młodziana kłosami i wieńcami zbożowemi i wreszcie wszyscy kosiarze i „rabiata“ wśród szczęku kos i śpiewów (względnie krzyków) udają się do dworu. Tu są zazweczaj przyjmowani poczęstunkiem. Po tych ceremonjach „przeciągnięty“ i „wykadzony“ fryc prowadzi całe towarzystwo na muzykę.

Uroczystą również chwilą jest zakończenie koszenia żyta, najważniejszego plonu żniwiarskiego. Dnia tego pod koniec pracy wychodzi do żniwiarzy sam dziedzic, względnie administrator lub rządca i przepija wódką do przodownika, który znów pije do towarzyszy kolejką taką, jaką postępowali przy pracy.

Także momentem obrzędowym jest wtoczenie się na klepisko stodoły pierwszej fury z żytem. Przed zrzuceniem pierwszych snopków przychodzi sama dziedziczka, względnie ochmistrzyni lub ochroniarka z talerzem wody święconej i kropidłem, którem pokrapia dokoła furę.

Tak samo nie bez krzyku i radości wtacza się na podwórze osłatnia fura żyta. Młodzieńcy i dziewice wiejskie postrojeni w słomiane wianki odprowadzają takową przy dźwiękach różnych instrumentów muzycznych oraz śpiewów, które działają balsamicznie na wydelikacony słuch, albowiem zagłuszają ową muzykę. I tym razem, o ile trafią na dobry humor we dworze, są przyjmowani wódką, i tym razem korzystają z okazji, aby cieszyć się z ukończonej części pracy wśród muzyki i tańców.

Ostatni wreszcie obrzęd żniwiarski to znane każoemu dożynki. Po zakończeniu żniw i sprzętu zboża, oznaczonego dnia przedświątecznego zbiera się pod wieczór cała służba folwarczna i z wień-

cami ze zbóż i z muzyką wyrusza przed dwór. Przed gankiem zaczynają się kuplety śpiewackie panegiryczne lub niekiedy złośliwe na każdą z osób, będących we dworze i to począwszy od dziedzica, a skończywszy na ostatnim ze służby. Po tej ceremonji następuje poczęstunek, a następnie hasanie, na początku w sieni dworskiej, a następnie całe bractwo udaje się na całonocne tańce, czy to w śpichrzu, czy to w ochronce, czy nawet w wozowni, gdzie prowizoryczna podłoga ma dość niebezpieczną dla tańczących własność uginania się desek.

Takie są główne obrzędy żniwiarskie, których niejednokrotnie byłem świadkiem w Rzepiszewie i w okolicznych majątkach, obrzędy, które w przyszłości ulegną może pewnemu przeobrażeniu, ale którym daleko jeszcze do wyparcia, albowiem każdy z nich jest związany z wielką i ogólną radością, a lud nasz do zabawy i libacji zawsze będzie skory, gdyż taka już jego natura i polski temperament.

---

KAZIMIERZ KORCELLI.

# Dożynki pod Łodzią.

(Feljeton).

Polska wieś...

Pod Łodzią — już jej niema!

Wymiotły ją złe wielkomiejskie wiry. Chłopskie stroje, motywy architektoniczne, stare obyczaje — dziś to już legenda.

Współczesne życie zabiło polską wieś.

* * *

Był sobie na wsi pod miastem Walenty Kobyła, który zrodził pana Kobylaka, a pan Kobylak zrodził wielmożnego pana Kobylińskiego.

Wielmożny pan Kobyliński precz odrzucił sukmanę chłopską. Na gospodarski brzuch wdział szlachecki garnitur, szyję piastowską oplótł bardzo eleganckim i bardzo zielonym krawatem — i wieś cała otworzyła gębę z podziwu: „W tym fajnym gabinecie galanciej wygląda z tyłu niźli Siajbler z przodu“. A tylko starsi ze wsi sarkali, że się „przechajduczył“ [1]).

Postęp i duch czasu. Wielmożny pan Kobyliński zreformował i świetlicę pradziadową: sprowadził z miasta fortepiano (naturalnie!), u bielonego pułapu zawiesił żółtego kanarka, na stole porozkładał książki, ale porządne książki, same powieści.

I nie Mickiewicz — ale panna Mniszkówna doczekała się „pociechy, że księgi jej zbłądziły pod strzechy“!!

Polski chłop, chłopska chata, a teraz dożynki u wielmożnych państwa Kobylińskich.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Muzyka z miejsca ucięła takiego oberka, że same nogi poszły

[1]) Wyrażenie oryginalne chłopskie, słyszane w Galkówku pod Łodzią.

w tan, a naród oszalał... Aż skry szły. Polska krew! Aż tu nagle wszystko popsuł pan Franciszek, który był wodzirejem: zziajany, rozkiełznany, wspaniały, jak burza wpada na muzykę, macha chustką, krzyczy:

— Pardon, pardon!... Co za tańce... Chamy! Muzyka! Walczyk! „Jak we śnie...“

Skrzypek, klarnecista i mistrz na zdefasonowanym przez wieprze fortepianie — spojrzeli na wodzireja i z miejsca zawrócili z oberka, bekając marząco...

— Jak we śnie... — porykuje rozkołysana w takt, rozmarzona izba.

— Panowie!...

Parobasy czerwone wytrzeszczają niebieskie oczęta...

— Damy na lewo!

Spocone dziewice idą na lewo.

— Bilanse! — zakomenderował nagle wodzirej po francusku.

Co?!? Stanęli panowie i panie. Patrzą błędnie na pana Franciszka.

— Bilanse! Psia...!

Wodzirej wpadł we wściekłość i rozpacz. Oblany potem, zachrypnięty, w kołnierzyku dającym dęba, jak Napoleon przebiegał szyki, ustawiał, tłumaczył...

Napróżno!

Świat go nie zrozumiał.

Naród stał i patrzał. Wreszcie wodzirej machnął ręką i rzucił muzyce:

— One-step! Chamy!

I lud zrozumiał, i zabawa poszła dalej —

— — — — — — — — — — — — — —

Była przerwa.

Goście rozbili się na grupy. Tam Piasty i Szulce pili likiery. Gdzieindziej Rzepichy robiły manicure. Tam znów w kąt wsunięta para:

Czupryna szmalcem wyglansowana, garnitur współczesny, skarpetki tęczowe, buty w szpic — to „on“.

Twarz jak kwiat, zęby jak sztachety, dekolt, nogi gospodarskie, to „ona“.

A razem — to Romeo i Julja.

Po odpoczynku muzyka urżnęła schimmy, publika też urżnęła się — zabawa szła.

Tylko pan Feliks, który był pisarzem w gminie, a poetą w duszy, nie tańczył, był rozmarzony i wzruszony... Ach! ci chłopi... ta chata... melodja...

Z parnej izby wyszedł w letnią noc. Podniósł twarz do mistycznego księżyca. Zachwycenie.

— U-ha! O bajadero — dochodziło go z izby.

On szeptał:

„Ach, ta chata rozśpiewana,
ta roztańczona gromada“...

*Łódź — w marcu 1925 r.*

# Krótki zarys historji Koła Krajoznawczego Młodzieży w Łodzi.

Dnia 10 kwietnia 1921 r. odbyło się Walne Zebranie Organizacyjne — jest to data narodzin Koła Krajoznawczego Młodzieży przy P. T. K. w Łodzi.

Zebranie zagaił dłuższem przemówieniem ś. p. dyr. Jan Czeraszkiewicz, prezes Łódzkiego Oddziału P. T. K., główny inicjator założenia Koła. Na zebraniu reprezentowane były prawie wszystkie szkoły średnie łódzkie, żeńskie i męskie — ogółem przeszło 80 osób. Zasadniczy zręb organizacji tworzyły uczennice Gimnazjum Żeńskiego P. Miklaszewskiej i uczniowie Wyższej Szkoły Realnej oraz Gimnazjum Państwowego im. M. Kopernika. Reprezentanci tego ostatniego do końca istnienia K. K. M. dzierżyli prym. Na zebraniu walnem zatwierdzono statut, który w ogólnych zarysach niezmieniony przetrwał trzy lata. Wybrano następnie zarząd z kol. A. Izydorczykiem na czele. W tym pierwszym okresie istnienia K. K. M. ustaliły się pewne ramy organizacyjne pracy. Zasadniczą działalność prowadziły sekcje (przyrodnicza, fotograficzna), a co sobotę odbywały się plenarne zebrania, każde z referatem, często z dyskusją oraz... tańce. Część towarzyska zebrań miała na celu doprowadzenie do zżycia się członków rekrutujących się z różnych środowisk. Pierwszy Zarząd zamykając krótki (od Zebr. Waln. do końca roku szkoln. 1920/21) okres działalności Koła miał do zanotowania następujące rezultaty: zorganizowano 2 wycieczki, 5 zebrań sobotnich, rozpowszechniano pisma krajoznawcze, utrwalono istnienie Koła. Członków było wtedy 127.

Przez wakacje praca zamarła. Wznowiono ją we wrześniu 1921 r. już pod kierownictwem nowego zarządu (prezes kol. L. Pawłowski). Dalszym etapem rozwoju było zorganizowanie sekcyj: Ludoznawczej i Literackiej. Zaprenumerowano „Orli Lot“ i „Ziemię“, rozpowszechniano formularze T-wa Etnograficznego, zapoczątkowano bibljotekę, zorganizowano cykle wykładów, wyświetlano przeźrocza. Urządzono wycieczki do Sieradza i do Spały. Koło odwiedził wybitny uczony prof. R. Minkiewicz. Jedynie administracja szwankowała — co odbiło się ujemnie na skarbie i wyraziło się ubytkiem członków. Błędem był także brak propagandy. Pod koniec kadencji zarządu liczba członków zmalała do 60. Tym względem kierowane Zebranie Walne (23. IX. 1922 r.) odłożyło udzielenie absolutorjum zarządowi do czasu usunięcia niedomagań. Tymczasem, do udzielenia absolutorjum kierownictwo spoczywało w rękach Komisji Przejściowej (prezes kol. Jastrzębski Janusz). W trzymiesięcznym okresie pracy K. P. Koło osiągnęło szczyt rozwoju. Liczba członków wzrosła do 100, uporządkowano administrację, podjęto propagandę, wzmożono pracę w sekcjach (5 dni w tygodniu lokal P. T. K. zajęty byt przez nas!) — wytoczono walkę części towarzyskiej zebrań sobotnich, która zbyt się rozwielmożniła na niekorzyść części naukowej. Ten rozrost K. K. M. zahamowany został nagle wstrząśnięciami w gronie samych członków, nastąpiły

rozłamy będące przykrym echem zaburzeń politycznych w kraju. Konsenkwencją tych złych chwil było to, że nowy rok 1923 zastał Koło w zupełnej dezorganizacji i upadku. Taki stan rzeczy trwał do 5. IV. 1923 r., do Walnego Zebrania, które wyłoniło nowy Zarząd (prezes: kol. Korcelli Kazimierz). Warunki, w jakich nowy Zarząd stanął do pracy, były b. ciężkie: dezorganizacja, zamknięcie wszystkich sekcyj, opłakany stan administracyjny, finansowy, zniechęcenie członków, podkopany autorytet, niechęć wielu dyrektorów szkół etc.

Ale wysiłkami jednostek Koło zostało podźwignięte i doprowadzone do normalnego stanu. Oto rezultaty pracy zarządu, fakty, nie słowa: zorganizowano na nowo 3 sekcje: przyrodniczą, art.-literacką, ludoznawczą i stworzono nową sekcję: ekonomiczną. Praca w sekcjach nosiła charakter pewnej specjalizacji. Każda sekcja miała zebranie co miesiąc (referaty, dyskusje). W celu utrzymania spoistości organizacji i jedności idejowej odbywały się co tydzień zebrania plenarne, na których członkowie wygłaszali referaty, często połączone z dyskusją, często ilustrowane przeźroczami. Poziom naukowy referatów się obniżył — ale to było wynikiem upływu z grona członków sił poważniejszych — a napływ nowych elementów był zamknięty z powodów od Zarządu niezależnych. Zato referaty były popularniejsze i krajoznawcze, czego nie zawsze można było rzec o referatach dawniejszych. Położono także duży nacisk na samodzielność w pracy: referaty na tle własnej obserwacji, wycieczek, własnoręcznie wykonane przeźrocza etc. Ogółem wygłoszono 37 referatów.

Administracja uległa uproszczeniom i ulepszeniom. Finanse zostały uleczone, i czyż kiedykolwiek skarb K. K. M. mógł pozwolić sobie na takie wydatki jak: ofiarowanie „Orlemu Lotowi“ 50 miljonów marek i na fundację tablicy ku czci poległych za Polskę uczniów Gimn. Państw. im. Kopernika — 87 milj. mkp.? Razem 137 milj. mkp.

Liczba członków wzrosła do 100, prócz tego istniało kilkunasiu członków nadzwyczajnych w uniwersytetach i kontakt z nimi był utrzymany.

Urządzono dwie wycieczki: Pierwsza do Łowicza: zwiedziliśmy miasto, kolegjatę, ślady zamku, a głównie napatrzyliśmy się pysznym strojom łowickim. Jako dzień wycieczki specjalnie naznaczony został dzień Bożego Ciała, kiedy to całe prawie Łowickie ściąga do swej stolicy. Kto widział ten stary rynek łowicki napchany mieniącem się w słońcu, bajecznie kolorowym tłumem, ten musi przyznać, że w Łowickiem strój chłopski jeszcze zarzucouy nie został. Zwycieczki przywieźliśmy kilka fotografji i szkiców.

Druga wycieczka urządzona w sierpniu 1923 — to już w większym stylu: od Ostrowca, grzbietem Łysogór, z wypadami na górę Chełmową (modrzewie!) i do Bodzentyna aż do Kielc i Chęcin. Ani jednego noclegu w łóżku, za to raz przy ognisku gdzieś tam w borze świętokrzyskim i drugi raz także pod golem niebem na stosie drzewa. Dziesięć dni ciągłego bezpośredniego stykanią się

z przyrodą, z zabytkami kraju, z ludem, z jego życiem — dziesięć dni włóczęgi pieszej po kraju.

W karnawale urządzono pierwszą i jedyną w wielkim stylu zabawę taneczną z ogromnem powodzeniem. Ta impreza wzmocniła skarb. Zorganizowana była z wielkim nakładem pracy. Prenumerowano w dalszym ciągu „Orli Lot“ i „Ziemię“. W grudniu 1923 — nowy czyn: zebrano dzięki pracy jednostek i uporządkowano materjały dla skompletowania całego numeru „Orlego Lotu“.

Dnia 5. V. 1923 Koło odwiedził wielki krajoznawca, prof. Al. Janowski i w serdecznych słowach dał wyraz radości z powodu pomyślnego rozwoju Koła.

I rzeczywiście, rezultaty, jakie osiągnięto w ostatnim roku administracyjnym, były duże. Mamy prawo to rzec, bo za słowami temi są — fakty. Ale dla bacznego obserwatora zaznaczyły się na budowie K. K. M. mocniej niż kiedykolwiek rysy niebezpieczne. Oto wszystkie rezultaty pracy zdobyte były trudem nie ogółu ale jednostek, ale nielicznej grupy, która się szarpała nadmiernie, gdy tymczasem reszta była apatyczna lub też czynnikiem destrukcyjnym. Ten objaw powszechny we wszystkich naszych instytucjach na gruncie K. K. M. był groźny specjalnie: oto nie można było ogółu tego ożywić przez napływ elementu nowego, zdrowego i energicznego. Ten fatalny stan rzeczy był wynikiem niedopatrzeń wielu zasadniczych spraw przez Zarządy dawne, i błędy przeszłości mściły się srodze. Pierwszy błąd: pozostawiono poza sobą niezałatwioną sprawę legalizacji Koła u odpowiednich władz, a egzystencję swą instytucja opierała na autorytecie ś. p. dyr. Czeraszkiewicza. Gdy choroba zabrała nam opiekuna — pp. dyrektorowie szkół średnich zabronili swym uczniom należeć do instytucji o charakterze międzyszkolnym. W ten sposób zamknięto dopływ nowych ludzi — pierwszy i niezbędny warunek rozwoju. Zarząd interweniował u poszczególnych pp. dyrektorów, wysłał do Kuratorjum delegację. Ale sprawę utrudniały konsekwencje owych dni rozłamu. Prócz tego formy bytu K. K. M. przeżyły się — a reformę od gruntu uniemożliwiały warunki od nas niezależne. Próby były podejmowane ale napróżno. Prócz tego wygasł już ten entuzjazm, z jakim kiedyś młodzież się garnęła do instytucji, do nowości. Zamiast rozmachu była apatja ogółu. A gdy jeszcze Zarząd wykreślił z życia K. K. M. tańce (wprowadzenie ich — drugi błąd przeszłości) — frekwencja spadła. To było probierzem istotnego stanu rzeczy. A ponieważ ten stan rzeczy nie mógł się zmienić, gdy jasnem było, że Koło skazane zostało na wegetację marną i to tylko do czasu, kiedy tych kilka ostatnich jednostek będzie się szamotało — dnia 29. III. 1924 r. nastąpiła likwidacja Koła.

* * *

Uwaga: Druga część sprawozdania jest może za długa, ale chodzi tu o wyjaśnienie wielu rzeczy, z których ogół nie zdawał sobie sprawy i w likwidacji Koła widział pewnego rodzaju „zamach“. Niech ci wszyscy, którzy tak myślą, a którzy gdy toczyła

się walka o byt K. K. M. stali zdala i bezczynni, niech pomyślą: „zamachu“ dokonał założyciel Koła, ś. p. dyrektor Czeraszkiewicz i ci, którzy od samych początków istnienia Koła aż pod koniec — pracowali.

---

STANISŁAW GAŁECKI.

# Ruch społeczny wśród młodzieży łódzkiej.

Młodzież łódzka odznaczała się zawsze znaczną energją w dziedzinach życia społecznego. Od wielu lat pokutowały tam najróżnorodniejsze zamiary i plany, ale nie wydostawały się nazewnątrz. Jedynie „Samopomoce“ szkolne przedsiębrały częstokroć różne akcje, przeważnie na terenie tylko własnej szkoły. W dziedzinie życia ogólno-szkolnego jedyną popieraną instytucją było Koło Kra joznawcze Młodzieży, ruch bowiem harcerski nie cieszył się i nie cieszy poparciem ogółu uczniowskiego. Z chwilą tedy likwidacji Koła Krajozn. Młodz. ustały niemal zupełnie wszelkie akcje na terenie życia społecznego. I cały rok 1924 jest chwilą, w której przygotowano nowe projekty, szykowano się do dalszej pracy.

I oto z końcem 1924 r. i z początkiem 1925 r. wychodzą niemal równocześnie trzy pisma: pierwsze „Życie Młodzieży“ wydawane przez gimn. im. M. Kopernika, drugie „Nasze Życie“ organ Samopomocy gimn. A. Zimowskiego i trzecie „Gazetka Szkolna“ gimn. H. Miklaszewskiej.

Entuzjazm, z jakim przyjęto ukazanie się tych trzech czasopism, sprawił, że powstają jeszcze inne pisma, choć gruntownie różniące się w charakterze ogólnym. Do takich zaliczyć należy gazetkę „Sokoli Lot“ wydawaną przez gimn. B. Brauna i „Młodość“ pismo młodzieży, trzy pierwsze pisma postawiły sobie dewizę Słowackiego: „Wszelkie budzenie ruchu w narodzie świętym jest i mnoży naród“ — i w myśl tej idei zaczęły działać. Być może, że pierwsze numery były brzydko wydane, że wiele można im było zarzucić pod względem redakcji, ale starały się zmusić ogół do wypowiadania się, ujawniania talentów i wyrabiania się wzajemnego.

I cel swój osiągnęły. Dziś, gdy już wyszło po parę numerów każdego pisma, ogół łódzkiej młodzieży ruszył się. Ze wszech stron napływają do redakcji artykuły, mniej lub więcej udatne. Ale jest ich moc i obejmują literalnie wszystko.

A teraz, kiedy już najtrudniejszy krok zrobiono, wre praca, aby połączyć kilka pism w jedno, a wówczas powstanie jedno z największych i najpotężniejszych pism młodzieży w Polsce.

---

# „Życie Młodzieży“.

Z pośród pism uczniowskich „Życie Młodzieży“ wybija się na pierwszy plan tak ze względu na zasadnicze podstawowe idee jak na jego treść i żywotność spraw w niem poruszanych. Jako programowy możemy przytoczyć wiersz z numeru 1-go:

Precz z marzeniami! Kraj nas woła,
Aby do pracy stanąć wraz,
Porzucić złudzeń błędne koła,
Realne życie zacząć raz.

I precz z tęsknotą! Ona z serca,
Wyrywa resztki naszych sił,
To potajemny jest morderca,
Co krew wysyca z tętnic z żył.

Tylko realny czyn nasz może
Obudzić naród, aby żył,
Tęczowe szczęścia utkać zorze,
I strząsać z niego wieków pył.

Lecz nie zabijcie wy idei,
Co tkwi napewno w każdym z nas,
Bez niej się życie wykolei,
Zginiecie w morzu ciemnych mas.

Krajoznawstwo zajmuje w Życiu Młodzieży" poczestne miejsce. „Niema prawdziwej miłości Ojczyzny bez jej znajomości" oto dewiza, którą mając na uwadze Redakcja „Życia Młodzieży" wprowadza specjalny dział krajoznawczy.

Redakcji „Życia Młodzieży" życzymy szczerze i serdecznie, aby wytrwała na raz obranym ważnym, a z trudem zdobytym stanowisku, a Czytelnikom naszym polecamy gorąco to pismo.

*Redakcja „Orlego Lotu".*



MARJAN SOKOŁOWSKI.

# Wspomnienie zimowe z Koziego Wirchu.

(Dokończenie).

Nasyciwszy ducha zabraliśmy się do zaspokojenia nieznośnego uczucia głodu, który pod koniec dawał nam się dobrze we znaki. Usadowiliśmy się tedy na osuszonych głazach, sterczących tu i ówdzie z pod śniegu i wygrzewając się, pochłanialiśmy skromne zapasy naszych worków. Dokonawszy tego ważnego aktu spakowaliśmy plecaki i rozpoczęliśmy szturm na Kozie Czuby. Zaraz na początku wypadło obniżyć się znacznie żlebem, spadającym ku Pustej Dolince, gdyż ze skalnej półki, którą wiedzie letnia ścieżka, nie było ani śladu. Zsunąwszy się prawie po rozmiękłym i kaszowatym śniegu, kilkadziesiąt metrów, wzięliśmy się w lewo z powrotem ku górze, kopiąc formalnie ścieżkę w takimże miękkim i stromym śniegu. Praca była mozolna, bo stopy ani czekany nie znajdowały dostatecznego oparcia i obsuwały się co parę kroków. Załupa była cała zaśnieżona, w górnej tylko części widniał koniec drabinki i klamra. Dobiliśmy wreszcie do niej i szybko już wydostaliśmy się na próg nad przełęczą. Otarliśmy uznojone czoła... Pierwsza spodziewana przeszkoda wzięta! Z większą ufnością spojrzeliśmy na dalszą część drogi, jako że wiodła w cieniu skał, dając przez to rękojmę trwalszego śniegu. Przed nami leżało nachylone ku przepaści pólko śniegowe, latem ów taras piarżysty

u stóp szczytowej turni. Staliśmy niby na podniebnym krużganku. U stóp rozwierała się śnieżna otchłań, ponad nami zwieszały się najeżone turniczkami, pokryte żlebami ściany, nie obiecujące wcale łatwego nad sobą triumfu. Istotnie musieliśmy tu stoczyć ze srogą zimową przyrodą górską walkę.

Zima jakby się wysilała, aby na ścianie tej spiętrzyć wszystkie trudności. Skały i płyty odziała powłoką lodową, stopnie wszystkie i chwyty przywaliła całunem śniegu. Ale im większe napotkaliśmy zawady i niebezpieczeństwa, tem większa zaciekłość budziła się w duszy, tem większa energja wstępowała w ręce i nogi. W stwardniałym śniegu byliśmy raz przy razie żelazem kutemi butami „stupaje", pięści drążyły chwyty przedramienne, czekany nieustannie biły dziobami, kując w lodzie oparcie dla stóp, aż skry sypały się, ilekroć stalowe ostrze zgrzytnęło o skałę. Parę razy trzeba było zawrócić z jakiegoś niezdobytego w tych warunkach płyciastego komina lub z kiełzkiej półeczki, to znów jeden z nas obsywał się nagle, gdy załamał się mu pod nogą kruchy stopień... Zawsze jednak wbity w porę do śniegu czekan, lub ułapiona jakaś skała, nie pozwoliły na dłuższą i mimowolną podróż, a opasująca wpół lina-drużka uspokajała, że w najgorszym nawet razie podróż taka nie przeciągnęłaby się do zagrażających życiu przestrzeni...

Na grani znowu ciepłe słońce. Rozgrzewamy skostniałe w przemokłych rękawicach palce i cieszymy się ze szczęśliwie pokonanej drugiej trudności. Z dumą też zacieramy w głęboką czeluść skalną, skąd niedawno wyszliśmy. Pogoda niezmącona. Od szeregu lat nie miałem szczęścia trafić w czasie zimowej wycieczki na taki cudny czas. Czy to na Kościelcu, Świnicy, czy na Granatach, zawsze zmagałem się z tak szaloną wichurą i kurniawą, że cudem Bożym niemal nie zamarzłem za każdym razem. Dziś Zima, Pani potężna i niechętnie odsłaniająca byle komu swe oblicze, wzruszona snać nawet w swem lodowem sercu moją wytrwałością i wiernością w Jej służbie, okazała mi się w całym swym majestacie i piękności. Oddawszy Jej w duchu cześć i uwielbienie zwróciliśmy się jednak znowu do bliższych nam zagadnień, jakiemi były: zejście na Kozią Przełęcz Wyżnią, a następnie wyjście z niej na sam Kozi Wirch.

Posunęliśmy się granią Czub wśród imponujących, w koronkowe jakby szaty odzianych turniczek i stanęliśmy osłupiali. Dalsza droga wydawała się niemożliwa. Z pod stóp naszych wysuwający się nawis nie pozwalał zajrzeć ku przełączce, a przeciwległa grań Koziego wyglądała tak straszliwie, że dusza moja, która zdążyła już usadowić się na ramieniu, zaczęła ukradkiem oglądać się za drogą odwrotną... Ale o powrocie tą samą drogą nie było co i marzyć. Zresztą nie darowałbym sobie takiej słabości do końca życia. Największym powabem taternickim, jak to słusznie powiedział jeden z nielicznych zresztą naszych poetów-taterników, jest zwycięstwo nad samym sobą, nad podłym strachem, co nieraz mroźnem tchnieniem owiewa duszę... Więc precz nędzne wahania, precz niecne myśli o odwrocie...! Do boju, do ostatniego dziś boju...! Widok jaśniejącego i na tle błękitów dumnie sterczącego szczytu,

niech będzie podnietą! Idziemy! Adek schodzi pierwszy. Zakopuję się po kolana w śniegu i wbijam czekan po głowicę, aby stworzyć jaknajlepsze warunki ubezpieczenia liną. Chytrze minąwszy bokiem nawis, znikł Adek pod jego cielskiem. Z poza białej krawędzi dolatują mię tylko odgłosy walki, jaką toczy ze śniegiem i skałą. Wolno wysuwająca mi się jednak z rąk lina świadczy o pomyślnym przebiegu zmagań. „Klamry w rynnie nie całkiem zasypane“ słyszę hen gdzieś z daleka, jakby z przełączki. Istotnie za chwilę, na tle przeciwległego stoku, wyłania się mała figurka Adka, który pokrzykuje ku mnie, bym już schodził. Zstępuję śla-



Pod Koziemi Wirchami.

dami na brzeg nawisu i spoglądam w dół. Wspaniały problem zimowej turystyki! No, ale skoro go już poprzednik mój rozwiązał, więc widać, że jest do pokonania. Obracam się twarzą do stoku i w tej pozycji zaczynam schodzenie. Znowu chwyty przedramienne oddają nieocenione usługi. Docieram do wyłażącej z pod śniegu liny drucianej i przy jej pomocy zbiegam już szybko na przełączkę. Orli to zakątek. Ku obu dolinom spadają niezdobyte do niedawna nawet latem urwiska, ku obu zaś szczytom śmigają najfantastyczniej podarte granie. Zwracamy się ku grańce na Kozi. Zbliska nie wygląda już wprawdzie tak straszliwie jak z Kozich Czub, ale zawsze groźnie i niedostępnie. Drzemy się tedy naprzód znowu po osypującym się, w słońcu rozmiękłym śniegu, po południowo-zachodniej stronie, aby po kilkudziesięciu krokach stanąć na samej grani. Tu bronią nam dalszego przejścia ze zlodowaciałego śniegu lepione potwory-pałuby, przechylone snać od wichrów ku północy, jakby nam groziły, że pchną nas w tę niebieskawą, zawrotną głę-

bię... Jedna z największych maszkar zatarasowała dalszą drogę... Podnoszę czekan i z rozmachem walę w jej kadłub... Chwieje się i z łomotem, ściągając po drodze lawinę pyłową, stacza się w przepaść... Sieję dalej spustoszenie w tłumie tych dziwadeł zimowych i depcę po ich trupach, po głazach z pod nich odkopanych, ostatkiem sił z zaciśniętymi zębami wyłupuję w lodzie chwyty, aby tylko dalej i wyżej! Wisimy już pod koniec obaj dosłownie na śnieżno-lodowem urwisku, asekurując się wzajemnie, bardzo zresztą problematycznie..! Wdzieramy się zapamiętale, zdwajamy wysiłki, bo oto szczyt tuż, tuż... Jeszcze jeden tylko próg... i koniec!... Nie! Jeszcze jedna płyta lodowa...! Czekanami po niej! Już jest za nami...! Upłaz śnieżny zrazu bardzo stromy, wreszcie coraz łagodniejszy w nachyleniu wyprowadza nas na grań... Parę kroków nią i oto stoimy na szczycie! U celu! Ze znużonych dłoni wylatują czekany, opadają z nas krępujące zwoje liny, plecaki, a my sami siadamy ciężko na granitowych blokach.

— — — — — — — — — — — — — — —

Po nadludzkich wysiłkach ostatnich godzin, jakże rozkosznemi wydają się obecne chwile spoczynku i ciszy. Rozciągnęliśmy się na śniegu jak na puszystej pościeli i podłożywszy plecaki pod głowy, poimy się widokiem królewskiej panoramy. Cudne przeczyste, w morzu światła i śniegów tonące, pod lazurową kopułą nieskalanego błękitu, stoją granatowe Tatry. Słońce stacza się już ku zachodowi i na dnie dolin kładą się już cienie okolicznych grani. Błądzę okiem po wszystkich, zwiedzonych w ciągu długich lat włóczęgi szczytach, przełęczach i dolinach, przy każdym z nich opowiadam sobie wspomnieniem wskrzeszone dzieje pragnień i marzeń, trudów, zdobyczy, radości i uniesień, niepowodzeń i klęsk wypadków; cała odysseja taternicka letnia i zimowa staje mi przed oczyma... A słońce tak przygrzewa... Jak w lecie... Zwracam leniwy wzrok ku zachodnim Tatrom, które wyglądają stąd jakby zaklęte w bezruch bałwany rozfalowanego oceanu... A tam znów w sinej dali, hen za rozłożystą i jasną, szczęśliwą doliną Wagu widnieje wynurzający się z bezmiernych lasów śnieżny szczyt Dżumbiru... Jak to słońce jednak radośnie przypieka... Oczy przymykają się mimowoli, twarz zwraca się ku temu odwiecznemu źródłu życia i powoli, nieznacznie zapominam o wszystkiem, zdaje mi się, że spoczywam jak ów legendarny Sablik na śnieżnej pościeli, z której po wszystkich trudach życia nie trzeba się już dźwigać.

— — — — — — — — — — — — — — —

Mocne szarpnięcie za ramię wyrwało mię ze słodkiej Nirwany. Ocknąłem się... Wzrok mój padł na potężny ciemny kadłub Krywania, na pogrążoną już w mrokach Dolinę Pięciu Stawów, wreszcie na stojącego nademną Adka.

Prawda... Przecież czeka nas jeszcze droga powrotna! A niewiadomo jak ona się dalej przedstawia. Lekki powiew wieczorny przebiegający sobie filuternie po szczytach, otrząsnął mi z powiek resztki snu. Wstałem, by rozpatrzeć się w dalszym terenie. Powrót

projektowaliśmy początkowo południowemi stokami Koziego na przełęcz Kulczyńskiego, skąd żlebem tejże nazwy wdół do Koziej Dolinki. Poważną trudnością w tej drodze mogły być zalodzone kominy w dolnej części tego żlebu. Ponieważ jednak innej drogi powrotnej nie było, ruszyliśmy czemprędzej dalej tembardziej, że dnia już było bardzo skąpo. Rzuciwszy tedy jeszcze raz okiem na błękitniejące wokół i przysute śniegiem góry zniżyliśmy się z jakich 60 m na stronę Pięciu Stawów i po olbrzymich stromych, tu i ówdzie skałkami poprzetykanych polach śnieżnych posuwaliśmy się ku Czarnym Ścianom. Śnieg był miejscami tak twardy, że kuty but ledwie go chwytał gwoździami, miejscami zaś tak miękki a głęboki, że zapadaliśmy po pas. Niesporo nam szło, to też gdy wreszcie stanęliśmy na przełęczy między Kozim a Czarnemi Ścianami zwanej Przełęczą Kulczyńskiego, całe Tatry żagwiły się najwspanialej. Pałały jakby krwawą łuną pożogi pochodnie Łomnicy, Garłucha, Lodowego, bliżej nas gorzały Mięguszowieckie, Hruby, Krywań i otaczające nas trzony Kozich, Granatów i Czarnych Ścian. Odblask tych łun kładł się po dolinach, mieszając się tu przedziwnie z granatem cieniów wieczornych. Staliśmy oczarowani, by nie uronić ni chwili z owych cudów... A góry paliły się i paliły, ale zwolna z głębi żlebów, z rozległych borów na dnie dolin, wypełzł zły-Mrok i gasić jął pochodnie jedną za drugą, od najniższych począwszy. Żarzyły się jeszcze uparcie te najwyżej zatknięte, ale i one dosięgnął wreszcie lodowaty dech Nocy. Zgasły ostatnie i pokryły się niebieskawą śreżogą jak przepalone głownie. Spojrzeliśmy w dół... Cienie zatapiały już Czarny i Zmarzły Staw... Czas najwyższy schodzić, aby nocą nie kręcić karków po zalodzonych żlebkach. Puściliśmy się tedy pędem początkowo po dziwnie głębokim i sypkim śniegu na twardem podłożu (doskonałym pod lawinę!), a potem po coraz twardszym zjeżdżając na butach, aż stanęliśmy nad grzędą, koło której latem schodzi się na piargi Dolinki Koziej. Zaglądamy z ciekawością i niepokojem, by przy ostatnich blaskach rozprószonego światła dziennego wybadać teren — i o radości! Żlebek w znacznej części odkryty, spodem tylko słabo oblodzony. W jednej chwili spuściliśmy się w jego czeluść i bez trudności zeszliśmy na strome pola śniegowe... Tu byliśmy jakby już w domu.

Raźnie kopnęliśmy się w dół i za pół godziny trafiliśmy na ranne nasze ślady, które rychło przywiodły nas do nart. Do buli nad Czarnym Stawem zeszliśmy pieszo i dopiero stąd ruszyliśmy jak duchy nocne chybko sunąc po jaśniejącej w poświacie księżyca tafli... I coraz dalej i dalej odsuwały się od nas bielejące poblaskami miesiąca góry, a w sercach naszych wzbierała nienasycona nigdy i niczem... tęsknota. Tęsknota za temi okruchami Ducha naszego, które ostawiliśmy po onych wyśnionych graniach jako nadzieje, radości, obawy, tęsknota za ziszczonemi już pragnieniami, które przez to, iż się ziściły, zapadły w otchłań niebytu, tęsknota za nowemi walkami, nowemi zwycięstwami.

JAN GADOMSKI.

# Pierwsza polska kometa.

Miło jest wybrać się na wycieczkę, obcować bezpośrednio z przyrodą górską, przypatrywać się jej pracy w wielkim warsztacie natury, od którego życie w miastach odsuwa nas tak daleko, jednakże o wiele większe korzyści w tym kierunku odniesiemy, stale przez czas dłuższy w górach przebywając. Wówczas mimowoli stajemy się sami niejako częścią przyrody przystosowujemy nasze życie do niej, oraz bierzemy żywy udział w jej żywiołowem życiu. Los taki jest udziałem niewielu ludzi: znaczną część życia spędzają w górach tylko przewodnicy górscy, bacowie i juhasi tatrzańscy, mieszkańcy wysokogórskich schronisk, a także czasem i — astronomowie. Zawsze pragnąłem dłużej pomieszkać w górach, to też uważałem za spełnienie mych marzeń, gdy dyrektor Obserwatorjum Krakowskiego zaproponował mi zajęcie się budową górskiej stacji i zbadanie stosunków klimatycznych oraz warunków bytowania na szczycie wysokiej góry, obranej jako tymczasowy teren pod budowę Narodowego Instytutu Astronomicznego. Po wielu miesiącach przygotowań na najwyższem wzniesieniu góry Łysiny (913 metrów n. p. m.) w Beskidzie myślenicko-limanowskim, stanął mały domek mieszkalny, przypominający schronisko tatrzańskie; ukończono budowę pawilonu dla lunet, ustawiono narzędzia meteorologiczne, oraz uporano się z początkowemi trudnościami związanemi z założeniem radjostacji.



Naprawa zerwanych anten radjostacji. W głębi domek mieszkalny astronomów.

Trudno było zaspokoić ciekawość okolicznych górali, którzy tłumnie odwiedzali budującą się Stację, niełatwo przyszło wytłómaczyć im idealne cele, dla których skazaliśmy się na długi po-

byt na odosobnionej górze. Tajemnicze nasze prace, odbywające się przeważnie w ciągu nocy, uważano za praktyki nieczyste, będące powodem zimnego, nieurodzajnego lata, oraz dwóch po sobie następujących bardzo ciężkich zim (wysokie słupy radjostacji z rozwieszoną siecią anten miały ściągać w lecie deszczowe chmury, a w zimie obfite opady śnieżne). Do „płanetników“ z Łysiny zwracały się nieraz okoliczne kobiety z prośbą o stawianie kabały lub wróżenie, raz nawet pewien góral zgłosił się do nas z poważną propozycją, twierdząc, iż słyszał od okolicznych ludzi, że pośród instrumentów posiadamy takie zwierciadło, w którem on będzie mógł zobaczyć twarz tego człowieka, który skradł mu pewną ilość



Pawilon mieszczący lunety astronomiczne, zbudowany w najwyższym punkcie szczytowej polany.

złotych monet, skrzętnie przez niego przechowywanych. Za wykrycie tą drogą winowajcy obiecywał nam sowitą nagrodę.

Na tej to Stacji górskiej o świcie dnia 4-go kwietnia 1925 roku została odkryta pierwsza polska kometa, przez p. Lucjana Orkisza, asystenta Obserwatorjum Krakowskiego. Jakkolwiek wyposażenie Stacji astronomicznej w narzędzia jest dość skromne, to jednak idealnie rozległy horyzont oraz kryształowe powietrze górskie stanowią dobre warunki dla pracy nad poszukiwaniem komet. Od maja 1924 roku pracą programową Stacji astronomicznej na Łysinie było poszukiwanie nowych komet oprócz oczywiście kontynuowania pomiarów meteorologicznych, prowadzonych już od lat dwóch. Praca poszukiwania komet jest bardzo niewdzięczna i mozolna, niedająca długi czas widocznych rezultatów, wymagająca przez przeciąg długich, pogodnych nocy niezmordowanego, aż do jasnego świtu czuwania u lunet, oraz pilnego przeszukiwania firmamentu za nowem nieznanem ciałem niebieskiem. Pan Orkisz, od jedenastu miesięcy wytrwale przeszukiwał niebo, narazie bez-

owocnie; gdy niezrażony długiem niepowodzeniem, już w czasie godzin zbliżającego się rannego brzasku w dniu 4-go kwietnia 1926 r. badał pilnie wschodni horyzont, zauważył jasną nieznaną mgławicę, o której nie było wzmianki w katalogach i atlasach nieba, znajdujących się na Stacji. Wschodzące słońce nie pozwoliło dalej śledzić ciekawego zjawiska. Nazajutrz w godzinach poprzedzających świt, udało się obserwatorowi odszukać z powrotem nieznane dotąd ciało niebieskie, jednakże już w innym punkcie nieba. Nie było wątpliwości: to nowa, nieznana kometa wy-



Pawilon astronomiczny z rozsuwalnym dachem; u góry widać historyczną lunetę, zapomocą której odkryto kometę.

łoniła się z zimnych, ciemnych przestrzeni międzyplanetarnych, by zajaśnieć w ożywczych promieniach słońca, przemknąć w jego pobliżu i z powrotem powędrować w odległe okolice systemu słonecznego. Obserwatorjum Krakowskie zawiadomiło telegraficznie o doniosłem odkryciu obserwatorja polskie, oraz Międzynarodową Stację Astronomiczną w Kopenhadze, która z kolei doniosła wszystkim obserwatorjom świata o odkryciu nowego ciała niebieskiego przez polskiego astronoma. Według zdawna utartego zwyczaju nowa kometa otrzymała nazwę od swego odkrywcy. Wedle pospiesznych rachunków wykonanych w ciągu paru dni w Obserwatorjum Krakowskiem, nowa kometa zbliża się obecnie do ziemi oraz słońca, zaś dnia 5-go kwietnia przeszła przez t. zw. peryhelium, czyli ten punkt swej drogi, w którym znajdowała się najbliżej słońca.

Z pośród wszystkich ciał niebieskich zawsze największe zainteresowanie wzbudzały komety. Gdy inne ciała, jak gwiazdy stałe i planety, prawie zawsze możemy obserwować na niebie, to komety należą do tych przelotnych „gości niebieskich", którzy niespodziewanie pojawiają się na firmamencie i po krótkim pobycie w pobliżu słońca, zazwyczaj bezpowrotnie giną w przestrzeniach międzyplanetarnych, a według zapatrywań niektórych astronomów wędrują nawet do sąsiednich słońc, jakiemi są wszystkie t. zw. „gwiazdy stałe". Szybkość ruchu komet zmienia się w znacznych granicach: gdy w pobliżu słońca, pod wpływem jego siły atrakcyjnej mkną one z szybkością setek kilometrów w sekundzie (kometa Orkisza w pierwszych dniach po odkryciu wykazywała szybkość trzydziestu kilku kilometrów w sekundzie), to po oddaleniu się znacznem od słońca szybkość ich liczy się w centymetrach na sekundy, a nawet nieraz równa się szybkości chodu człowieka. Szybkość to ogromnie mała w stosunku do olbrzymich rozmiarów ich drogi, nic też dziwnego, iż większość komet znika w przestrzeni na wiele lat z naszych oczu. Niektóre jednakże z nich co pewien okres czasu odwiedzają pobliże słońca. Do nich należą naprzykład perjodyczne komety: Halley'a (obieg 76 1 lat), Olbersa (82.6 lat), Biela (6.7 lat), Enckego (3.3 lat), oraz oczekiwana przez astronomów w tym roku kometa Wolfa, zbliżająca się co 6.7 lat do naszego słońca. Większość jednak komet biegnie po linjach krzywych, otwartych (t. zw. parobolach i hyperbolach) i zazwyczaj tylko raz jedyny zbliża się do nas, chyba, że na drodze swej napotyka jedną z wielkich planet naszego systemu słonecznego, która działaniem atrakcyjnem swej masy deformuje orbitę komety i przekształca ją w linję zamkniętą, zwaną elipsą. Takim „łowcą komet" w naszym systemie słonecznym jest Jowisz, posiadający dużą masę.

Ilość materji zawartej w komecie jest w stosunku do mas słońca i planet bardzo mała, koncentruje się w t. zw. „jądrze", z którego pod wpływem promieni słonecznych rozwija się ogon, utworzony z bardzo rozrzedzonych gazów. Wskutek rzadko zdarzającego się ciekawego trafu astronomowie obserwowali w ubiegłem stuleciu przejście komety przez układ księżyców Jowisza, a nawet jak wykazały późniejsze rachunki, raz nasza Ziemia w drodze swej naokoło słońca przeszła przez wnętrze ogona komety.

Czy kometa Orkisza rozwinie okazały warkocz, czy przybierze znaczniejszą jasność, pokaże to najbliższa przyszłość.

STANISŁAWA NIEMCÓWNA.

# Z moich wędrówek.

**(Listy z podróży do Egiptu)** [1].

I.

*27 marca 1925. Na pokładzie „Tevere“* (Tybr). Nie zdołałam wysłać listu z Wiednia, dziś czynię zadość obietnicy, chcąc krótko ująć drogę i przeżycia aż do momentu odjazdu na morze. Wyjeżdżam z Krakowa z poczuciem nieprzygotowania do zamierzonej wyprawy tem silniejszem, że ostatnie tygodnie miałam zajęte pracą zawodową i nie było mowy o zajrzeniu do książek o Egipcie. To nieprzygotowanie nie jest geograficzne, lecz kulturalne. Zabytki, które mam oglądać, napewno będą dla mnie pewnego rodzaju objawieniem, które nie wiem, czy potrafię odrazu pojąć. Faktem jest jednak, że jadę i z chwilą znalezienia się w pociągu, jadę z całem zadowoleniem, bo zobaczyć mogę rzeczy wielkie, a przeżyć silne wrażenia, a tych nie wolno unikać, jeśli się chce przeżyć życie mocno. Dwa dni przeżyte w podróży dużo mi zostawiły wspomnień, głównie przebywanie granic po kolei czeskiej, austrjackiej, jugosłowiańskiej i włoskiej. Dużo uprzejmości ze strony wszystkich, a równocześnie małe nieporozumienie z powodu brania nas za jedną z licznych grup żydowskich, dążących do Palestyny na otwarcie uniwersytetu hebrajskiego. I teraz na statku duża grupa ideowców żydowskich młodych i starych wszędzie się kręci, a ponieważ wielu ich mówi po polsku, więc dużo trzeba było zużyć wymowy, żeby nas razem nie pomieszczono w kajutach i uznano naszą odrębną polską narodowość, oraz cel podróży zgoła inny niż otwarcie uniwersytetu hebrajskiego. Przecież my właśnie wieziemy ze sobą przedstawiciela mahometan polskich dr. K., który ma podkreślić wobec Arabów naszą tolerancję religijną i życzliwe uczucia żywione dla Arabów u nas, właśnie w tej chwili, gdy oni dzień otwarcia uniwersytetu hebrajskiego uważają za dzień żałoby narodowej. Tak więc zaraz u wstępu do naszej wyprawy wyłaniają się przed nami problemy dziwnie wspólne nam i Arabom, do których jedziemy. Czy nie znalazłoby się jakieś rozwiązanie ludzkie problemu narodowości żydowskiej i ich „wszędybylstwa“ ludzkie i uczciwe — i czy tego rozwiązania trzeba szukać po naszej i Arabów stronie — czy po tamtej.

Jestem tu na pokładzie w słońcu — i dobrze mi — nie myślcie jednak, że mi ciepło — prawdopodobnie u Was w Krakowie cieplej niż tu obecnie.

*28 marca 1925.* Wczoraj dało nam się we znaki nieco morze, dzięki wiatrowi i wzburzeniu fal, ale „dzień pierwszy przeszedł bez boleści“, lecz jak mi przejdzie dalszych dni czterdzieści?

---

[1]) Listy te pisze p. drka St. Niemcówna, profesorka Państw. Gimnazjum żeńskiego w Krakowie do swych uczenic z kl. V. C. t. zw. Cesiek.

Dużo uwag nasuwa mi się na temat przebytej drogi, ale trudno mi zebrać w całości myśli, chodzi chociażby o krajobraz Krasu, przez który jechałam wczoraj, o zestawienie wpływu podróży morzem, a wycieczki górskiej, wreszcie stwierdzam szereg zasad moich o wartości stałej, jak obowiązku nie narzekania w najtrudniejszych momentach życia, radości chwili i odczuwania silnego przeżyć, które nam dają istotnie coś twórczego. Moje drogie — mała na pożegnanie uwaga — moja pierwsza instalacja na morzu bardzo dla mnie wypadła niefortunnie, nie rzekłam ani słowa i niezadowolenia nie objawiłam nawet ruchem brwi. — Wola Boska — prawda, bo i do wieczora zostałam przeniesiona do kajuty razem z p. B. i moimi dobrymi znajomymi. Rzucam list w Brindisi, d. c. z Kairo.

II.

*29 marca 1925.* Płyniemy po spokojnych stalowo-granatowych falach już Mediteranu. Wczoraj w nocy przepłynęliśmy cieśninę Otranto i nie pełnem morzem, ale między Peloponezem a wyspami Kafalonja i Zacynthos zdążamy ku Aleksandrji. Morze jest tak spokojne, że statek wstrząsa jedynie ruch śruby okrętowej. Rankiem wczesnym mijamy Ithakę, na której chytry Odyseusz świnie pasał— wcale — wcale dużemi władał przestrzeniami i od reformy rolnej nie mógłby się wykręcić, gdyby żył współcześnie. Wybiegam na pokład i z głębi szczerej duszy Bogu śpiewam, nie ludziom: Chwal Pana duszo moja. Z głębokości twej zdroja, Wychwalaj świętość Jego. Chwal, chwal Nieśmiertelnego za duch twój, za twe blaski, za wszystkie Jego Łaski — On Cię usprawiedliwił, tylekroć ubezpieczył — nakarmił i uleczył...

Patrzę ze zwyczajnem geografowi zaciekawieniem, chcąc odcyfrować krajobraz i wedrzeć się w tajniki jego genezy. Powoli między stojącymi tworzą się opinje nowe, odrębne. Chwilę mamy wesołą, gdy oceniając szczyty gór, formy i wysokości — rozbijamy się na dwie partje, przyjmując jedni, że szczyty bielą się śniegiem, inni, że to rodzaj wapienia białego tak szczyty zaklął w alabastrowe barwy — tworzy się więc partja „śniegowców“ i „kredowców“ (bo materjał prawdopodobnie z kredowej formacji). Stwierdzam, że większość nas siłą faktu musi należeć do „kredowców“, boć przecie w głównym zrębie jedziemy „na kredę“.

*30 marca 1925.* Jutro dobić mamy do Aleksandrji, skąd wyślę owych parę słów. Smucę się nieco sobą i swoimi nerwami, bo doszłam do tego stopnia naprężenia psychicznego, że już nieznośnem dla mnie jest owo „dolce far niente“, owo kompletne próżnowanie i bezmyślność, w jaką pogrąża człowieka podróż morzem. Nie, osobiście jestem zupełnym lądowcem i nie mogłabym miesiącami wędrować po wodach, chyba gdyby mnie trzymało na tym terenie zainteresowanie naukowe. Wieczór spędzamy ucząc się arabskiego i przypominając sobie podstawy higjeny, obowiązujące w Egipcie. Właściwie jeść to tam prawie nic nie można i kto wie, jak będziemy wyglądać po powrocie, zwłaszcza, że ja wcale dobrze

się nie czuję, bo gardło bardzo mi dokucza. Trzeba jeszcze napisać parę słów o naszem polskiem towarzystwie, wcale ciekawie zebranem, ale to chyba już z Kairu, bo resztę czasu trzeba pakowaniu poświęcić — jutro rewizje br... br... br... — kończę, a podpowiadają mi aforyzmów pęk, „ciężko jest żyć na świecie nieprzyzwyczajonemu“, cięźej jeszcze, gdy człowiek mocno sobie podje.

III.

*2 kwietnia 1925.* Moje drogie! Kongres został wczoraj oficjalnie otwarty przez króla Fuada I w Operze. Zwyczajem u nas przyjętym Polacy przeważnie się spóźnili, tylko pani B. udało się widzieć Fuada nadjeżdżającego i wyrazy sympatji, jakiemi go publiczność darzyła w czasie jazdy, zresztą człowiek jak miljony innych. Naogół Kongres nie zapowiada się dobrze, zredukowano ilość sekcyj, a i te obesłano, kto wie jak, bo znikąd żadnych zasięgnąć informacyj nie można, wielkie zda się być w biurze kongresowem „bezhołowie“. Może ten zawód, wymiany myśli ludzi pracujących w tym samym kierunku, wynagrodzi nieco szereg wycieczek projektowanych, a to 4. IV do Piramid, 5. IV do Saggarah, 8. IV do Barrage, wreszcie dwie większe pokongresowe do oazy Kharga i w górę Nilu oraz do kanału Suezkiego. Trwają do 20. IV. Ponieważ przez Grecję nie możemy wracać, bo istnieją trudności komunikacyjne, więc prawdopodobnie powrót linją Syryjską z zahaczeniem o Ziemię Świętą. Jest nadzieja, że z powrotem się nie spóźnię, więc nie cieszcie się na dalsze próżnowanie.

Ale wróćmy do Kaira. Dziwne miasto, w znacznej części przypomina miasta europejskie, ale jeden krok w dzielnicę arabską przekonuje nas o odrębności Wschodu i wszystkich jego osobliwościach. Momenty, które nas uderzają, to duża odrębność dzielnic bogatszych i uboższych. O ile pierwsze wykazują ogromne bogactwo architektoniczne i tak cudowne ornamentacje, jakich trudno szukać u narodów północy, o tyle w uboższych częściach miasta widać pewną niedbałość w budowaniu domów. Uderza nas schemat prostokątnego planu ulic bardzo wąskich o bardzo wysokich kilkopiętrowych ścianach domów. Zjawisko zrozumiałe w budownictwie miast wschodnich, gdzie chodzi ludziom o uzyskanie możliwie wiele cienia, by chronić się przed skwarem słonecznym; tu słońce nie tak grzeje jak tam u nas 20° szerokości wyżej, gdzie człowiek chętnie wystawia swe ciało na jego życiodajne działanie. Tu słońce szybko wschodzi bez przejść brzasku, mocno pali w godzinach południa i przewędrowawszy szare sklepienie niebios nagle kryje się za widnokrąg. Noce bardzo chłodne, dnie tak ciepłe jak u nas w lipcu lub sierpniu, lecz nieznośne z powodu pyłów i brudu bardzo tu powszechnego. Ale wróćmy do miasta wspomnianego. Zewnętrzny wygląd domów uboższej dzielnicy bardzo nieciekawy, brud i różne zapachy uderzają ze wszystkich stron. Co żyje w nich (prócz nielicznych kobiet) przebywa na ulicy (Mouski, stara droga Kairu jest tu typowym przykładem właśnie takiego orjentalnego przebywania i załatwiania wszystkich swych spraw publicznie). Dodaje to znowu pewien posmaczek hałasu niesamowitego, o ja-

kim tylko małe wyobrażenie dają nasze małomiasteczkowe jarmarki. Dalszą cechą domów Wschodu jest urządzanie wielkich platform na dachach, gdzie można odpocząć wieczorem, wysoko od niebezpiecznej, bo zbyt szybko ochładzającej się ziemi. W ubogich domach widzimy prostym płotem objęte ogrodzenia, przyczem często, jeśli się na tym płocie nie suszy bielizna, to suszą się różne zapasy żywności dla ludzi, a może raczej dla bardzo tu powszechnie używanych osiołków lub wielbłądów. W krajobrazie wiejskim większego znaczenia nabiera roślinność palmowa. W zwiedzanych parkach wielkie bogactwo wegetacji może olśnić, ale trzebaby jeszcze umieć zrozumieć te drzewa, jak dotąd ich fizjonomje nic, albo niewiele mi mówią, i bardziej mi droga „nasza poczciwa brzezina".

Zwiedziłam już ogród zoologiczny i przedewszystkiem cieszę się, że wśród różnych osobliwości widziałam prawdziwe krokodyle żywe, których we wodach Nilu pono już spotkać nie można.

---

WŁADYSŁAW MAZUR.

# Pieśń wiosny — pieśń młodości[1]).

...Dziś właśnie wracam z nad Brynicy. Zieleń na polu... skowronki śpiewają. Idzie poprzez łany, nasze kochane polskie łany, szare łany pieśń wiosny, pieśń młodości. Jeden ciepły deszczyk, jeden namiętny całus słońca... a życie wiosny w przecudnych akordach zanuci hejnał pieśni życia, pieśni wiosny i młodości. Młodzież nasza szkolna odbędzie kilka wycieczek, potem ją rozpuszczą na wakacje i koniec. Z tą chwilą, gdy się zamkną mury szkolne jako szkoły, powinny się równocześnie otworzyć, jako hotele szkolne dla młodzieży wędrującej. Czesi nauczyli kochać swój kraj i „domow mój" przez wycieczki szkolne czeskiej młodzieży głównie w czasie wakacyj. Sprawą powyższą zajęła się umiejętnie Czeska Rada Szkolna Krajowa. Każda czeska szkoła jest dla wycieczek uczniowskich w czasie wakacyj kwaterą wypoczynkową. Uczniowie zbierają się po kilku, otrzymują ze strony swych dyrekcyj szkół legitymacje i książeczki podróżne, ładują plecaki, zbierają kociołeczki, nieco grosza i dalej w świat. Przyszedłszy do jakiej miejscowości, meldują się zaraz w szkole. Tam jest już stale na wakacje przygotowana sala ze siennikami i słomą. Po znalezieniu się u kierownika szkoły, lub stróża, po wylegitymowaniu się, wypoczywają, gotują strawę, wywiadują się co godnego w danej miejscowości jest do obejrzenia, wypoczną, zjedzą co należy i przespawszy się maszerują dalej z poświadczeniem pieczęcią szkolną, że istotnie w tej miejscowości byli. Każda szkoła wita młodych podróżników gościnnie, użycza opieki, bo to dzieci czeskie, kochane dzieci, co pieszą wędrówką uczą się praktycznie

[1]) Przedrukowujemy część artykułu dyrektora Seminarjum Nauczycielskiego w Sosnowcu, umieszczonego w zeszycie 4. „Życia Szkolnego", miesięcznika wychodzącego we Włocławku.

kochać czeską Maticę. Jakiż to prosty sposób tani, nie obciążający budżetu państwa. Jaki doniosły pedagogicznie, jaki naprawdę kochany. Sieć hoteli szkolnych przez bezpłatne noclegi uprzystępnia młodzieży poznanie kraju rodzinnego, uczy ten kraj kochać praktycznie. Świadomość, że wszędzie przyjmą wycieczkę, że jej dadzą nieco drzewa na ugotowanie zupy, herbaty, dadzą przewodnika, miejscowego ucznia, który pokaże wszystkie atrakcje danej miejscowości, zachęca młodzież do podróży. Jest wielką ambicją szkół, klas, odbyć najwięcej zbiorowych wycieczek, które później opisuje się w miejscowej gazetce. Morze... morze zalet mają tego rodzaju ekskursje, umiejętnie przez szkołę prowadzone. Naprawdę u nas tę rzecz należałoby ująć w stałe ramy. Właśnie my, którzy się nie znamy, którzy nieufnie ciskamy sobie do ócz różne zalety dzielnicowe, powinniśmy mieć taką instytucję wakacyjną, „Szkołę hotel". Niechaj chłopcy wyjdą w świat, poznają Polskę, jaka ona wielka, bogata, przepiękna, jak żaden inny kraj. Góry, doliny, faliste okolice, bory, puszcze, rzeki, jeziora, morze... Morze, a co za lud barwny, jakie stroje, jakie pamiątki narodowe, jakie kopalnie, fabryki. Wszystko to można widzieć w młodych latach za bezcen, gdyby tylko wprowadzić instytucje: „Szkoła hotel".

...Idzie wiosna, rozkoszna wiosna, budzi się uroda życia... maj, płynie pieśń wiosny, pieśń młodości... Hej, chłopcy na pola, na łąki, w świat gromadami poznać Polskę. Poznacie ją w rozkosznym trudzie i nauczycie się lepiej kochać, niż z Nałkowskiej, lub Radlińskiego. Bo czyś widział, bracie młody, Babią Górę kwoczastą i senną, czyś drapał się na Gewont, czyś się umył w Świtezi zwierciadłach i kołysał na falach polskiego morza, czyś widział ruiny Felsztyńskie, lub wypoczął na kamieniu Łysogóry, lub w grotach Ojcowa, czyś usiadł nad brzegiem Wisły, która do dziś jeszcze płacze, że prusactwo myje w niej swe brudy, a czyś się wsłuchał w wieczorne modlitwy borów naszych, a czy cię ranne ptaszki obudziły kiedy najrańszym śpiewem śpiącego pod kopą żyta w polu. A czyś podziwiał majestat Boski w cudnych Pieninach i pił wodę ze źródeł Krynicy, czyś Niemna oglądał zieloną wstęgę? Jakże łatwo poznać to wszystko w młodości... Trzeba wam ino chcieć, młodzi przyjaciele... Oto moja pieśń wiosny, pieśń młodości... I ja byłem niegdyś młodym, lecz jakże wam dziś zazdroszczę tej niepokalanej wiosny waszego młodego życia, tej pieśni wiosny.

Recepta do stworzenia „Szkoły hotelu" jest następująca: M. W. R. i O. P. ogłasza, że na czas wakacyj należy przygotować jedną salę szkolną dla zgłaszających się wycieczek. Dyrekcje szkół i kierownicy w porozumieniu z Kołami Opieki urządzą odpowiednie noclegi. Samopomoc szkolna, uczniowie każdorazowo dadzą swoją pomoc wędrującym kolegom.

* * *

Oddziały P. T. K. i Koła Krajoznawcze powinny ująć inicjatywę w swoje ręce. „Orli Lot" chętnie ogłosi adresy tych szkół, które są przygotowane na przyjęcie wycieczek.

Na razie podajemy:

# Adresy Oddziałów Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.

*Bydgoszcz,* K. Fiedler, ul. Paderewskiego 1. — *Choceń* przez Czerniewice, Inż. W. Popławski. — *Grudziądz,* ul. Lipowa, Ks. Łęga. — *Kielce,* ul. Leonarda 14. — *Kraków,* ul. Grodzka 64. (schronisko, opłata dla młodzieży 80 gr.). — *Lublin,* ul. Powiatowa 1, Prof. Uziembło S. — *Łęczyca,* gimnazjum, p. Zwoliński. — *Łódź,* ul. T. Kościuszki 17, Prof. Adamowicz. — *Nowogród,* Ziemia Łomżyńska, A. Chętnik. — *Pińczów.* ul. Kościuszki, M. Kowalski. — *Piotrków,* Stary Rynek 3, M. Witanowski. — *Poznań,* Uniwersytet, Prof. S Pawłowski (schronisko). — *Radom,* Księgarnia, R. Suchański, sędzia. — *Sandomierz,* gmach pojezuicki, Karpowicz. — *Toruń,* ul. św. Katarzyny 4, M. Sydow. — *Puck,* Inspektor Szkolny Górny (schronisko). — *Warszawa,* ul. Karowa 31 (schronisko, opłata dla młodzieży 1·50 zł.). — *Włocławek,* ul. Kaliska 1, Inż. Olszakowski. — *Wilno,* ul. Nowogrodzka 22, Prof. K. Sławiński (schronisko). — *Zakopane,* Dom wycieczkowy im. Ks. Stolarczyka, ul. Chałubińskiego.

---

# Z życia organizacji krajoznawczych.

**Sprawozdanie Koła Krajoznawczego im. Bronisława Piłsudskiego, uczniów Gimn. VII. w Krakowie.** W lutym 1925 r., odbyło się Walne Zebranie, na którem został wybrany nowy Zarząd, w skład którego weszli: kol.



„Pucheroki" w okolicach Krakowa.

Jakubiec prezes, kol. Rosthal wiceprezes, kol. Pacyna sekretarz, kol. Stecki skarbnik i kol. Buczek bibljotekarz. Koło wzięło sobie za zadanie poznanie okolic Krakowa, a następnie i innych okolic naszej Ojczyzny, i w miarę możności gromadzenia materjału potrzebnego do badań nad zwyczajami i obyczajami ludu polskiego.

Z okazji ważniejszych świąt wyruszają w okolice Krakowa zastępy krajoznawcze piesze lub kolarskie, fotografują i opisują zwyczaje ludowe i tak



Młodzi krajoznawcy na wywiadach.

w kwietną niedzielę zajęto się „pucherokami", zwyczajem znanym w okolicach Krakowa, a dotąd nie fotografowanym. Zwyczaj ten opiszemy szczegółowiej, gdy materjał zdobędziemy obfitszy. Narazie publikujemy tylko jedną z fotografji, przywiezionych przez zastęp kolarzy, który odbył wycieczkę pod przewodnictwem kol. Aksentowicza.

Koło posiada już zbiór fotografji widoków okolic Krakowa, typów ludowych, zwyczajów. Gotowi jesteśmy przygotować serję z 30 przeźroczy krakowskich na wymianę. Jeżeli więc które z Kół Krajoznawczych posiada serję negatywów przedstawiających pewną całość i zechce wykonać pewną ilość przeźroczy na wymianę, jesteśmy gotowi wysłać nawzajem równą ilość przeźroczy krakowskich albo z Beskidu Zachodniego. Naturalnie dołączymy i tekst objaśniający. (Adres: Kraków, Starowiślna 48).

## Z książek i czasopism.

*Pedagogjum.* Miesięcznik poświęcony sprawom seminarjów nauczycielskich, preparand oraz kształcenia nauczycieli. Kraków, Straszewskiego 22 II. Treść nru 1 i 2: Dr. P. Hrabyk: Teologja jako podstawa wychowania i nauczania. A. M.: Przeciążenie młodzieży seminarjalnej. M.: Kształcenie naucz. w budżecie na r. 1925. SS.: Nauka języka obcego w seminarjach. Dr. Wł. Filar: Obecne szkolnictwo seminarjalne w Szwajcarji. Wł. Tyrankiewicz: W sprawie przeciążenia młodzieży sem., Prawdzic: W piekącej sprawie. *Redakcja uprasza wszystkie Komitety pism młodzieży seminarjalnej o nadsyłanie wydanych dotąd numerów tych pism celem zarejestrowania i omówienia w „Pedagogjum".* W zamian gotowa jest wysyłać na żądanie numery „Pedagogjum".



**Cena zeszytu pojedynczego (16 stronic) z przesyłką pocztową 20 gr., zeszytu podwójnego (32 stronic) 40 gr. Przedpłata roczna 2·— zł.**
**Poszczególne numery można nabywać w Krakowie u p. Czaykowskiego, plac WW. Świętych (sprzedaż dzienników).**

Wszelkie przesyłki pieniężne, zwroty niesprzedanych egzemplarzy, należy skierować pod adresem: **Księgarnia „Orbis", Kraków-Dębniki, Barska 41.** Najdogodniej jest wysyłać pieniądze czekiem P. K. O. na konto 401.101. Na odpowiedzi załączyć znaczek pocztowy.

Redaktor: Leopold Węgrzynowicz, Kraków, Krowoderska 74 II p.
Administracja: Kraków-Dębniki, Księgarnia „Orbis".

Nakładem i drukiem „Orbis" w Krakowie.